

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK II WIELKOPOLSKA LIPIEC 1932 NR. 7 (10)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

ZMIERZCH ZIEMIAŃSKIEJ SZLACHETCZYZNY

Wiadomo, że kultura polska była kulturą wybitnie wiejską, ziemiańską. Ziemianami była szlachta, strzegąca uporczywie swych praw i przywilejów, gardząca chłopem i mieszczuchem. Tę ziemiańskość, dworskość kultury widać jaskrawie w starszej literaturze polskiej. Wszędzie wieś, prace wiejskie, pola i lasy, drogi wierzbowe i fletnie pastusze, lud roboczy niby wół w jarzmie, wszędzie zawadjacka mina brata szlachcica, z szabelką u boku a puharem w ręku, wszędzie hulanka, swawola i hymny czy wiwaty „bogo-ojczyźniane". Oczywiście kultura ta swoje zrobiła, walory jej wsiąkły w krew narodu, ma swoją chlubną kartę. Nie chodzi nam jednak tu o to, nie idzie też o jej ujemne strony.

Załamała się gdzieś, po rewolucji francuskiej, w XIX w. Ale romantyzm nasz jest jeszcze wybitnie ziemiański, tkwi mocno w sarmackiej przeszłości, przychodzi jeno więcej szaraczków do głosu, szaraczków jak Mickiewicz, co



Stefan Szmaj: Linoleoryt oryg.
(z wystawy: Współczesnej Grafiki Poznańskiej w Muzeum Wielkopolskiem)

bledną pochodzeniem i „atmosferą" domową wobec tamtych karmazynów jak Rej, Kochanowski i inni. Upadek powstania styczniowego był dalszym taranem, co bił w rozpadającą się konserwę szlachecką. Uderzył silnie, ale jeszcze jej nie rozbił. Kiedy w r. 1870 wstępował do gimnazjum nieokrzesany syn chłopski, Jan Kasprowicz, w domu którego od głodu piszczało, wyśmiewają wieśniaczy krój jego odzieży, wystrychnięte paniątka szlacheckie, patrzą na chłopca z ludu jak na raroga! Rej wodziła jeszcze szlachta lub ci dorobkiewicze doby pozytywistycznej, co się w szlachecką skórę podszyli. Słuszną bo jest uwaga prof. Bystronia, autora świetnej książki — Nazwiska polskie, że społeczeństwo nasze nie tyle się coraz więcej demokratyzuje, ile raczej staje się coraz bardziej drobnoszlacheckiem! Nie brak i dziś fałszerzy herbów — wszak to intratne zajęcie — w którym to procederze tak celowali nasi przodkowie. Nasi, to niby ci „lepsi" — szlachetni lub

„uszlachetnieni“, na który to chrzest tak wielką kładzie uwagę jeszcze (o zgrozo!) konstytucja trzeciego maja, szczyt konserwatyzmu na pewnych punktach. Dziś już maturzysta chciałby zostać szlachcicem albo podporucznik, co według owej konstytucji musiałby czekać na rangę kapitana.

Tak — w żyłach nas wszystkich płyną już tradycje ziemiańsko-szlacheckie. Oto, co znaczy tradycja. — Ale stany się rozpadają, warstwy społeczne płyną, by zginąć na zawsze w czeluściach przeszłości. Ogólne to prawo dziejów społeczeństw, podzielonych na lepszych, gorszych i najgorszych. Pisze znów o tem przekonywująco Stern, sławny psycholog niemiecki, w książce o inteligencji. Można mówić o inteligencji warstwy społecznej, o jej rozwoju, potędze i zaniku. Tej inteligencji w znaczeniu globalnem posiadała u nas najwięcej warstwa szlachecka. Nic dziwnego, że rządziła narodem i państwem. Ale zasoby inteligencji zbiorowej się zużywają, wyczerpują, psychiczna siła się nie potęguje, doszedłszy już raz do zenitu. Rodzi się — żyje i — umiera jak człowiek, organizm fizyczny.

Tak zamiera w naszych oczach szlachetczyzna, otrzymawszy nowy cios w latach wielkiej wojny. — Nadszedł kryzys gospodarczy — bodaj ostatni gwóźdź do trumny ziemian — konserwatystów! Coraz ich mniej w szeregach posesjonatów. Stwierdzają to boleśnie nawet pisma ziemiańskie. Majątki ziemskie przechodzą w ręce nowych ludzi, dorobkiewiczów uczciwych lub nieuczciwych, handlarzy, zaganiaczy świń itd. — ale ludzi najczęściej sprytnych, pracowitych, obrotnych i dzielnych. Nie marzą oni o Karslbadach, Paryżach i Wiedniach, wyszli z małego lub z niczego i dlatego cenią to, co posiedli. Liczą się z twardą rzeczywistością nowych czasów. Do tego wszystkiego nie jest już zdolna stara warstwa szlachecko-ziemiańska. Zbankrutowana ideowo i moralnie, w jej pojęciu, (bo jakże często szuka dziś „hrabia“ pomocy materjalnej u bogatego zaganiacza bydła, jak często żeni się szlachcic z najtrywialnielszą panną z hołotki miejskiej, lecz posażną!) zatraciła do reszty orjentację społeczno-polityczną, zgubiła się w chaosie redukcyj dochodów, w chaosie złych konjunktur finansowych. Nie pragnie umierać w uzdrowiskach polskich, na zagraniczne jej nie stać — w tem tragedja! Umieć żyć w nowych czasach, będąc obarczonym zmorą tradycyj dawnych, dobrych czasów!

Dawnych, dobrych czasów, kiedy to część braci trzymała się klamki rządów zaborczych (Stańczycy, i ci, co nazwiska zmieniali, co kadzidła palili Wilhelmom, co byli jak syte owce na dobrem pastwisku, którym jest obojętnie, w czyim ręku świszcze bat!). Ten bezdogmatyzm przyspieszył ich koniec. — Idą dziś fale nowych warstw: chłopów, ludu wogóle, i mieszczan. — Rodzi się nowa kultura ludowa, najpierw na Śląsku. Lud tam ją tworzył i tworzy znojną ręką, bez przewodnictwa, bo „inteligentna“ brać — szlachta dawno się zgermanizowała. „Głupi“ chłop był oporny i... ujrzał światło. Rąbał mozolnie chodniki polskości, zrazu podziemne, niby w swej kopalni.

A Pomorzanie, Kaszubi? To twarde plemię, którego dawni przewodnicy są dziś najzaciętszymi wrogami polskości! Lud — wyśmiewany, wzgardzony przyszedł do głosu!

Zajmują dziś synowie ludu coraz ważniejsze stanowiska społeczne, polityczne, w nauce, lituraturze, sztuce. Coraz ich więcej wśród profesorów uniwersyteckich. Jakże inaczej było jeszcze pół wieku temu! A w szkołach średnich! Gdy piszący te słowa wstępował na początku wielkiej wojny do gimnazjum, jedno dziecko podało zawód ojca: Arbeiter. Poruszenie wśród reszty — co? — syn robotnika w „wyższej“ szkole?! Żyły jeszcze tradycje, zaledwie bo dopiero drobne mieszczaństwo wywalczyło sobie prawa. A dziś? Proszę obserwować, liczyć! W każdej klasie szkoły średniej jakaż „hołota“, kilku robociarzy, kilku bezrobotnych, dalej dzieci przekupek, stangretów, włodarzy i szwajcerów — że wymienimy tylko śmietankę wiejską.

Oczywiście przeorać te zahukane często umysły, oświecić głowy i półgłówki niezmiernie ciężko, twarde to zadanie szkoły dzisiejszej. Łatwiej uczyć główki z inteligencją odziedziczoną, „rasową“, główki ze środowiska z tradycją. Tych jednak ze świecą szukać w dzisiejszych np. szkołach średnich, jest jeden, drugi — odpada, bierze go za bary silny, zdrowy, „niebezpieczny“ rozum chłopsko-mieszczański, bo chociaż tamten zdolny — jest leniwy, za wiele ma rozrywek, niesprzyjających nauce, — ten ciężki, surowy, ale zacięty, pilny, wytrwały. Odpada więc gagatek w uczciwej rywalizacji, by czasem znów, po latach, gdzieś wypłynąć z... dyplomem, tytułem albo na intratnej posadzie. Świetność rodu, pieniądz (czytaj i protekcja) jeszcze wiele znaczą! Coraz to jednak rzadsze, bo i ci „zdołu“ mają już swoje wpływy.

Ta fluktuacja społeczna stworzy, ba stwarza już nową warstwę, nowej inteligencji. Jakby ją nazwać? Chyba że nową szlachtą. Będzie to niewątpliwie ta sama ziemiańska (u posesjonatów) szlachetczyzna, tylko w innej formie, w innych głowach, z innemi zasobami energji. Gdy koźlarek stanie się profesorem uniwersytetu, oddali się od swoich, kupi herb lub inny modny znaczek, będzie „szlachcicem“. To odwieczna komedja ludzka, prawo społeczne, to zawsze aktualne: wszystko płynie. Jak dobitnie uplastycznił to K. H. Rostworowski, dramaturg życia. — Czy jednak ta nowa szlachetczyzna uniknie starych błędów? Oto Hamletowe pytanie i o nie nam chodzi. Oto zawsze aktualny dramat Nieboskiej Komedji! Tam triumfuje idea Chrystusa — ogólniej: miłość, sprawiedliwość, moralność — chrześcijańskie cnoty kardynalne. Ależ jak się dziś niemi szermuje, jak wywraca na nice, jak nawet ośmiesza i atakuje! Szczególnie pojęcia moralne i religijne. Jaka dziś walka, jaki chaos — niczem czasy Zygmunta Krasińskiego. Gdzież więc grunt, oparcie, gdzie dawne ideały? — coś ich dawniej więcej było. — Przeglądałem niedawno bibljotekę „nowego“ ziemianina — (prostak, ale już wywodzi się ze szlachty; zamiast „usus“ powie *ursus*, koleją *jadzie*, a poluje na *ragacze*). Bardzo bogata, ale o zgrozo! Tandeta, szunt ostatniej rangi: 95 groszówki, humbug pociągowy i Pitigrilli. Ostatniego jednak niezupełnie rozumiał, to za wysoka pozycja literacka! Powiecie: to matołek. Gospodarz wszakże pierwszorzędny, chodząca inteligencja zawodowa, specjalna (por. Stern); kryzys gospodarczy przetrzyma niewątpliwie. Oto problem selekcji zawodowej, znów najnowsza psychotechnika, oto okaz nowego szlachcica — ziemianina! Kpimy z niego? bynajmniej. Oto właściwy człowiek na właściwem miejscu. Czy jeno się nie „zepsuje“. W tem zagadnienie. Czy nie popadnie wskrajny materjalizm, mając pieniądze w garści, ale nic w sercu, nic w duszy — jak ci starzy. Czy wykształci syna naprzykład na idealnego nauczyciela — biedaka, lub nawet na uczonego — profesora. Mozolna to droga i mało intratna. Czy syn — prawnik, dyplomata, czy międzynarodowy handlarz nie będzie prawił swym dzieciom o starożytności swego „rodu“?

Alfons Flis.

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

STANISŁAW HRABIA PONIŃSKI

Mało znaną jest dzisiaj ta zacna i piękna postać wyrosła na terenie naszego regjonu, która działalnością swą wyszła poza interes „domu swego“ i objęła swym wpływem omal całą Wielkopolskę. Dlatego też nie

od rzeczy będzie ją wskrzesić z martwoty zapomnienia, ze starych szpargałów i notat biograficznych, choćby dlatego by udowodnić, że w czasach, w których gmach państwowości polskiej walił się w gruzy, żyły przecież jednostki silne i dzielne, które jeszcze dzisiaj, po latach stu potrafią olśnić nas swą tężyzną moralną i dostojeństwem pracy dla dobra narodu. —

Stanisław Hrabia herbu Łodzia Poniński, pułkownik wojsk polskich z czasów napoleońskich, marszałek sejmu Wielkiego Księstwa Poznańskiego, kawaler wielu orderów, jeneralny dyrektor Ziemstwa Kredytowego a ojciec hr. Edwarda Ponińskiego z Wrześni, — urodził się w r. 1779. Ojcem jego był Marceli Poniński, poseł powiatu gnieźnieńskiego dawnej Polski na Sejm Czteroletni, matką zaś Rozalja z Grudzielskich. Stanisław wziął po ojcu umysł czynny, naturę aktywną i pochopną do czynu, po matce zaś wielką płomienną miłość ku sprawie narodowej.

Urodził się i przeżył swą młodość w czasach przełomowych. Polska traciła już wówczas swój byt niepodległy, a z dalekiego Zachodu, od Francji szła poprzez całą Europę przerażająca burza Wielkiej Rewolucji. Rysowały się posady ówczesnego świata. Tysiącletnie koncepcje i światopoglądy rozsypywały się w jedno wielkie rumowisko. Europa traciła głowę. Straciła ją i Polska, raczej nie wskutek poszumów huraganowej walki o „prawa wolnego człowieka", ile przed grozą widma kajdan i niewoli najeźdźców. — Podobnej depresji moralnej jak po ostatnim rozbiorze Polski (1795 r.) nigdy w duszach polskich nie było. Jeśli ludzie warjowali i umierali ze zgryzoty i boleści nad utratą ukochanej Ojczyzny, — to naprawdę niedola ta musiała być straszliwa. Po upadku rezurekcji kościuszkowskiej (1794 r.) dziwna jakaś otępiałość i nostalgja opanowały cały naród. Nieliczne już tylko jednostki żyły nadzieją zbrojnego odwetu na najeźdźcach formując legjony Dąbrowskiego we Włoszech (1797 r.).

Tymczasem w kraju zabijająca większość starego i młodego pokolenia zapadła w letarg niewoli. Nieliczni tylko marzyli o jutrzence zwycięstwa, w którego blasku zrzucą z siebie nienawistne sobie jarzmo. Do takich należał w Wielkopolsce przedewszystkiem Stanisław Poniński. Mimo wybitnie ciężkich czasów nie stracił otuchy i wiedział że mimo chwilowej przegranej, sprawa o Polskę jeszcze nie załatwiona. Przygotowywał się przeto pilnie do zbrojnego występu, strzegąc gorliwie ojcowskiej spuścizny, a kiedy orły napoleońskie wkroczyły w roku 1806 do Polski

Z. Drwęska-Doeringowa:

WIERSZ NIC NIE MÓWI...

Słyszę jeszcze w sobie szlochanie tak ciche,
jak szelest liści klonów, co lecą na drogę —
i oto w trumnę dziś już złożyć mogę
miłość, co była marzeń pałacem stworzonym przez pychę.

Tak, jak latarnia umarłym okrętom
rzucam blade blaski w pomrok nieprzejrzany —
i tak mi jest, jak gwieździe w chaosie starganej,
co innych wiąże swą siłą i mocą wyklętą!

A żyję przecież... — i świerszcze mi tak rzewnie trzeszczą,
jakby zejść jeszcze mogło ze mną szczęście w czyjeś progi!
Nowi ludzie znów przyjdą — lecz dusze nie wrócą,
co się rozstały, błądząc w srebrze mlecznej drogi.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Sen mi się jakiś ciemny przypomina...
który ostrzegał, by przerwać podróże —
na próg w koszulce wyszła ma dziecina, —
kres drogi — pustka — pocóż iść dłużej?
Po opuszczonym błąkam się ogrodzie
wspomnień i przeczuć, które ból wypaczył —
śniłam, że brnęłam w śliskiej, czarnej wodzie —
i twoje szczęście topiłam w rozpaczy!!
Lecz, gdy świt trwogę ukoił nad ranem,
stałam się cichą niewolnicą Boga —
Błogosławiona bądź losu twego droga —
i twa niepamięć w sercu rozśpiewana!

Stanisław Helsztyński:

BOGURODZICA

(Z cyklu: „Gniezno i Ziemia Gnieźnieńska")

Przez te spękane słowa widać katedr gotyk
stawianych w Europie w czas żarliwych krucjat,
słychać echa radosne na Angelus muntiat,
czuć wiary średniowiecznej strzelisty niebotyk.

Paverello z Assyżu — słychać — na tę nutę
śpiewał i kazania wygłaszał Dominik.
Parę strof tych to wieków skrysztalony wynik,
entuzjazmu, który w niebo wzleciał nad dysputę.

Legnickich lęków okrzyk, płacz branek w jasyrze,
śpiew mniszek polskich w Sączu, Gnieźnie i Żarnowcu,
w przytłumionym spowiły ech dawnych pokrowcu,

dobywa się z tej pieśni, huczy w dźwięków wirze:
Salomei, Jolanty, Kingi, ksień — opacich
głos, wiek Mistyki, dotąd w słowach tych nie zacichł.

Teodor Tałuna:

PO TWEJ ZIEMI...

Po twej ziemi Wielkopolsko chodzić to rozkosz nieznana
Słuchać co w złotym rozhoworze skłębione szepcą kłosy
W skwarze południa z modlitwą na ustach pokorny — bosy
W rozchyleniu kroczyć zbóż, może światłości ujrzeć Pana?

Pośród kwiatami łąk utkanych położyć się i czekać
Aż w dziennej spiekocie roztopione dzwonów srebrne tony
Rozperlą się w okiściach traw, wpomroczu zaczną nawlekać
Otulone gwiezdną ciszą kłosy żyt ziaren miljony.

Tylko pod twojem niebem rozbijać swoje chciałbym szatry
Usiąść w cieniu chojarów, gonić bitych szos mleczne wstęgi
i czytać nabożnie kartę za kartą ziemi twej księgi
Ryte żelazem, pisane krwią, a głośne aż po Tatry.

odrazu zaciąga się w szeregi walczących i staje do dyspozycji Naczelnego Wodza z całym wysztyftowanym przez siebie pułkiem dzielnycn wielkopolskich wiarusów. Pułk ten przeszedł potem do historji opromieniony glorją dowódcy i własnem męstwem. Był to pułk czwarty, później 12-ty piechoty linjowej Księstwa Warszawskiego, który brał bohaterski udział w całej kampanji napoleońskiej w Prusach Wschodnich i dalszych. Na czele tego Pułku Stanisław Hrabia Poniński walczył mężnie w bitwach: pod Iławą, Frydlandem i przy oblężeniu Gdańska. Rycerską odwagę jego nagrodziły krzyże: legji honorowej i kawalerski polski. Po pokoju w Tylży (r. 1808), który nie ziścił złotych polskich nadziei, bierze dymisję i rozpoczyna karjerę dyplomatyczną w całym szeregu wybitnych urzędów Księstwa Warszawskiego.

Kiedy zaś orły napoleońskie skonały pod Lipskiem (1813 r.) kiedy pod Waterloo (1815r.) nastąpił ostatni śmiertelny zmierzch glorji wielkiego Korsykańczyka, a Kongres Wiedeński (r. 1808) rozwiał ostatecznie złudne nadzieje Polaków, — hrabia Poniński nie załamywał rąk jak inni. Powrócił do swych włości, szablę zawiesił na ścianie i stał się jednym z najlepszych, cichych pracowników społecznych, którym mamy do zawdzięczenia, że Ta, której imię wymazano z karty Europy, mimo to „nie zaginęła".

Ekspensami długich wojen zniszczone dziedzictwo przodków doprowadził przez wzorową gospodarkę do stanu kwitnącego. Wnet też poznano się na nim powszechnie i ceniono go jako dobrego organizatora i administratora, zwłaszcza od chwili kiedy wziął wcale przedni i zasadniczy udział przy zawiązaniu i ukonstytuowaniu się Ziemskiego Towarzystwa Kredytowego, na czele którego także stanął jako jeneralny dyrektor Ziemstwa i przez długie lata szcześliwie i ku pożytkowi ogólnemu całą akcją kierował.

Kiedy rząd pruski postanowił per fas et nefas przeprowadzić we Wielkopolsce uwłaszczenie chłopów, Poniński dobrze rozumiejąc korzyści ogólne, jakie dla kraju sprowadzi dobrowolne zniesienie przymusowej pańszczyzny, jeden z pierwszych stał się rzecznikiem swobód chłopskich, nawet z uszczerbkiem swoich „pojedynkowych" korzyści. Z ramienia rządu moralnie kierował całą tą akcją, wykazując umysł bardzo postępowy, dużo miłości Ojczyzny i dobra publicznego, a przedewszystkiem dużo cierpliwości, wyrozumiałości i zręczności politycznych wobec szerokich sfer szlacheckich, z początku zapatrzonych w niego jak tuza, których interesom to się jednak sprzeciwiało.

Kiedy sam pierwszy w swoich dobrach przeprowadził uwłaszczenie chłopów, — okrzyknięto go z początku „ultrajakobinem". Mimo to jednak swoją niezwykłą stanowczą postawą, cichemi namowami, wykazywaniem społecznych pożytków z dobrowolnego uwłaszczenia płynących zdołał do swych planów nakłonić większą część ziemian wielkopolskich. Czyny jego polityczne były nie mniej świetne. Posiadając potężne wpływy we Wielkopolsce a rozległe stosunki w Berlinie wszedł w r. 1822



Stanisław hrabia Poniński

do komisji polskiej, która miała uzgodnić rządowy projekt o sejmach prowincjonalnych. Kiedy taki sejm został we Wielkopolsce ukonstytuowany pod laską marszałkowską księcia Antoniego Sułkowskiego, hr. Poniński otrzymał nominację na jego zastępcę, a po jego śmierci objął sam to stanowisko. W roku 1836 podczas czwartej kadencji sejmowej Sejmu Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a w r. 1841 podczas piątej, — dzierżył bez przerwy laską marszałka.

W powstaniu listopadowem 1891 r. sam udziału nie wziął z powodu podeszłego wieku, ale je gorliwie wspomagał pieniędzmi i ludźmi, choć w powodzenie tegoż nie wierzył.

Jak każdy wybitny człowiek miał też swych wrogów, którzy go pomawiali o sprzyjanie i konszachty z Prusakami. Że było jednak inaczej, może posłużyć za dowód choćby ten fakt że w r. 1841, kiedy stał u szczytu swego wpływu i swej karjery obywatelskiej, kiedy jako marszałkowi sejmu Księstwa powinno mu bardzo zależeć na utrzymaniu możliwie najlepszych stosunków z Berlinem, — on sprowokowany w swoich uczuciach narodowych przez satrapę pruskiego, ministra Flottvella, staje na czele protestu całej Wielkopolski i w sposób ostry i surowy piętnuje niesprawiedliwy, paszkwilowy raport tegoż ministra przed sądem.

Pod koniec swego życia Poniński usunąwszy się ze sfery polityki bieżącej zawsze jeszcze stoi na posterunku w służbie obywatelskiej. — Jeszcze w r. 1844 zostaje przewodniczącym Towarzystwa Rolniczego w powiecie wrzesińskim. Umiera w Berlinie 1847 r. Ciało jego pochowano w rodzinnych grobowcach fary wrzesińskiej. Odszedł od swoich, wśród ogólnego żalu wielkich i maluczkich tego kąta zagrabionej Polski, którego życiem żył, dla którego niestrudzenie pracował i któremu przedstawiał nowoczesny typ ziemianina - obywatela, światłego, mądrego, o niespożytej energji człowieka prawdziwego męża czynu i dobrego Polaka.

MARJAN TURWID:

KRAKÓW MICHAŁA RUSINKA

Kraków dla przeciętnego wielkopolanina to: zabytki, żydy i śmiecie. Prawie każdy poznaniak, choćby raz w życiu pielgrzymuje do Podwawelskiego Grodu niby mahometanin do Mekki. Wszedłszy z nabożeństwem do królewskiej katedry, zwiedza następnie Skałkę, wyłazi obowiązkowo na Kopiec Kościuszki a potem przez pozostałych kilka dni lata jak opętany po mieście aby wszystko co się tylko da zobaczyć. Wreszcie wraca na swoje Chwaliszewo zmęczony i czegoś markotny. Zapytasz go o powód smutku to ci odpowie: Byłem w Krakowie oglądać polskie „pamiątki". Piękne są i dużo ich jest ale jeszcze więcej żydów i brudu.

Nieproporcjonalnie wielka liczba żydów nie zmniejszyła się niestety wcale w latach ostatnich, zmniejszyły się natomiast i to wcale pokaźnie krakowskie nieporządki. Pewnie, że nie wszystko jeszcze zadowoliłoby wymagającego Chwaliszewca ale, wiadomo, nie od razu Kraków zaśmiecono, nie tak łatwo go więc tedy wyczyścić.

Szkoda wielka, że zacny rodak z Poznańskiego nie mógł dłużej trochę pobawić w Krakowie. Miasto to bowiem należy do tych, które zyskują i to bardzo po bliższem dopiero poznaniu. Trzeba się powoli ze staremi murami zżywać, trzeba się nauczyć chodzić po sędziwych „kocich głowach" szacownego rynku no i koniecznie trzeba nauczyć się niedostrzegać brudu i natrętnie w Krakowie rej wodzących żydów.

Wówczas dopiero pocznie działać czar królewskiego miasta. Wówczas dopiero, jeśli cię Boy-Żeleński swą świetną książką zapyta czy: „Znaszli ten kraj?", będziesz mógł odpowiedzieć: — — tak!

Nie wielu jednak jest takich, których stać na to by się w Krakowie uczyć Krakowa, by wyczekiwać na jasny poranek zimowy, aby zobaczyć fragment murów obronnych oczami Fałata, czy na późne popołudnie jesienne, aby poza koronką napoły ogołoconych z liści drzew plant ujrzeć rosnącą wzwyż ścianę Wawelu. Fałat, Wyspiański, Stanisławski, Wyczółkowski i inni to przewodnicy cudowni ale wymagający. Wymagają od oprowadzanego czegoś więcej znacznie więcej niż tylko czasu. A tymczasem i tego w większości wypadków nie dostaje. Więc w rezultacie — nieporozumienie. Więc w rezultacie powierzchownie poznane „pamiątki", żydy i brudy.

A tu nieporozumienia być nie powinno. Kraków nie jest tylko dla „galileuszy". Wszyscy mamy prawo do niego. A przyznać trzeba, że nam krakowianie tych praw zupełnie nie odmawiają. Choćby niewiem jak byli zżydłaczeni, choćby im imponowały tylko warszawskie karjery i żydowskie uznania, jedno jest pewne: krakowianie kochają swój Kraków. I nie jest to uczucie blagą czy „austrjackiem gadaniem". Spróbójcie zganić coś krakowskiego, to wam krakowczyk, choćby najmizerniejszy do oczu skoczy i gwałtownym potokiem słów zmusi do milczenia. A źródłem gorących słów wcale nie będzie przysłowiowa „całujerączkowa" rozlewność towarzyska.

Nie wierzycie? Więc przewertujcie te niepoliczone książki o Krakowie. Nie starczyłoby pewnie całej kolumny na wyliczenie samych choćby tytułów. Wymieniłem „Znaszli ten kraj", najpiękniejszy chyba dokument naszej literatury regjonalnej. I jeszcze jedną wymienię książkę związaną organicznie z królewskiem miastem i to najmłodszą: Michała Rusinka: „Burzę nad Brukiem"[1]).

Nieraz z Rusinkiem włóczyłem się po krakowskim „Bruku". Znałem jego kilka sensacyjnych powieści i bliskie mi były jego proste i mocne wiersze z „Błękitnej Defilady"[2]). Wiedziałem dobrze o tem, że mój towarzysz mocno odstawał od całej czeredy rozgadanych kawiarnianych genjuszów, nie przypuszczałem, jednak wyznaję, że takie wspaniałe nosił w sobie wspomnienia burz nad brukiem rodzinnego miasta i choć się nieraz przedemną Krakowem przechwalał, że tak inaczej a tak pięknie swe rodzinne miasto widział.

Bohater jego powieści, Piotruś a później Piotr Ożeluch, to — mam głębokie przekonanie — autor sam. I teraz wiem, dzięki czemu Rusinek, tak całkiem inaczej swój Kraków zobaczył. Mały proletarjusz krakowski nie patrzył na swe rodzinne miasto z okien salonów, z wysokości pojazdów czy choćby tramwajów. Uczył



Michał Rusinek
Szkic portretowy Marjana Turwida.

się patrzeć na Kraków „z tunelu staroświeckiej prawie całkiem ciemnej sieni...". Później gdy już podrósł trochę, wyszedł z pod opiekuńczej bramy, by „minąwszy kamienną szkarpę, występującą z muru średniowiecznego kamienicy aż do połowy chodnika", zapuścić się coraz dalej i dalej, by wreszcie za lat parę zachwycić się takim np. obrazem:

. . . Kościół — — jak ulica cała rozpłatany na pół słońcem. Tylko sam piwniczy dół z grubą kratą klasztornego grobowca zaciągnął się całkiem cieniem. Prawe zaś schody i prawa połowa trójkątnej fasady odcina się złotem od szarej drugostronnej reszty.

Tylko czarny krzyż żelazny, wystający z najwyższego czubka fasady jest, mimo blasku, czarny. Strzepnął z prawego ramienia żółty pył popołudniowego słońca i wyciąga posępne, jednobarwnie czarne drążki na obie połowy, rozciągniętego wpoprzek ulicy kościoła..."

Ale nie zawsze obraz jest słoneczny. Czasem Ożeluch „...Posępny idzie w szarą czeluść wąskiej ulicy. Smutną skuloną jego sylwetę biorą w długie ręce szare, paszarpane ramiona średniowiecznych murów. Monotonna cicha głębia wchłania go chciwie w chaotyczną gmatwaninę wystających ścian, szkarp, wykuszów i rynien..."

Chciwa bezdenna głębia starych murów miasta, nie pochłonęła jednak prostej, jasnej duszy krakowskiego ulicznika. Trupi dech cmentarnych murów nie zatruł mu serca, a wiemy przecież jak bardzo był niebezpieczny.[3]) Piotr Ożeluch wyszedł cało z gmatwaniny występujących ścian, szkarp i wykuszów. Dla niego były one tak często przecież domem rodzinnym, ich cmentarny chłód zamieniał się dla niego w ciepło jedynego schronienia.

Piotr Ożeluch umie być wdzięczny. Zawzięcie broni swych murów, swego „bruku" w pamiętne dni Odrodzenia, w gorące dni „burzy". „Gdzieżeście są pandziu dranie jedne?" wrzeszczy za innymi w czasie walki z austrjakami na rynku, ...„Pod Kraśnikiem, pandziu nogi za pazuchę brali jak wiater, a tu bestje urządzają szarze w naszem mieście, w rodzonem naszem mieście, słyszane? Wiesz pandziu, chamie jeden, że po tych gruntach król Jagiełło szedł, król Jagiełło, zasrańcze! Na pohybel psiamać, Niemcom!"

Przez długie dni swojej wiosny wałęsał się Piotr Ożeluch, po ulicach po których król Jagiełło chodził, po swoich „rodzonych" ulicach. Były mu one wszystkiem. Pas zamknięty w linje szyn tramwajowych był mu „czerwonym kokosowym chodnikiem". „...Chodnik jest wyciągnięty wśród ulic, ale nie są to bynajmniej ulice. Zdaje się Piotrowi, że idzie przez jakieś wielkie, jak ulice szerokie, granatowem niebem nakryte pokoje... Jakiś wielki, obszerny, jak labirynt nieodgadły dom... Pracą zbożną, nie wrzawą i rozbojem przejdzie się po onych świetlicach..."

Serdecznie i pięknie mówi Michał Rusinek o przedpokojach i świetlicach swego królewskiego domu. Gorąca miłość do matki i takież samo uczucie do rodzinnego miasta dyktowały mu wszystkie słowa jego książki. Zapalone na bruku ojczystego regjonu uczucie, rozjarzyło się płomieniem ponad murami i basztami miasta, płomieniem tak jasnym, że blask jego dostrzec można wyraźnie nawet w bardzo odległych od krakowskiego regjonach. A oglądany w tym blasku kochającego serca Kraków, wydaje się nam jaśniejszy, czystszy, bardzo bliski i drogi.

---

[1]) Michał Rusinek — „Burza nad Brukiem". Gebethner i Wolf. Warszawa 1932.
[2]) Michał Rusinek—„Błękitna Defilada" Bibljoteka Studwudziestu. Kuglin. Poznań.
[3]) Boy (Tadeusz Żeleński) Znaszli ten kraj? Warszawa.

PIEKŁO W BABICH DOŁACH — PIEKIEŁKO NA FRANULCE

Zdradzę najpierw tajemnicę. Ten to, co prawił niedawno czytelnikom „Wici“ o Rzymie, Wenecji i Paryżu wielkopolskim, ten to półinteligent pochodzi sam z babiego dołu! — No więc co, przecież każdy ... przepraszam nie każdy pochodzi ... ze wsi. On mądrala z babiego dołu. Cóż to za pogańskie pojęcie, nazwa geograficzna czy coś z czarnej magji, z literackiej przenośni? Babi dół? Rozumiemy Kaczydół jeziero pod Śremem, staw na Białozu i t. p. ot poprostu kaczka zrobiła dół a Bóg nalał wody, niech sobie też będzie Żabidół i Żabidołek na Dobrojewie, Kurzydół parafja Solec, nie lękamy się licznych Wilczychdołów, nie przerażą nas Psiedziury i inne doły i dziury. Stworzonka lubią grzebać dziury, ależ do licha jakiż interes ma w dziurze baba? O jaki dół tu może chodzić? Zobaczmy co o nich mówi ks. Kozierowski, specjalista od wszelakich uroczysk, dołów, kniej i łęgów, i innych bezdroży-niedościgniony. Ba zna on nie tylko liczne Babiedoły stawy (a więc ktoś nalał wody) i miejsca (wiadome i niewiadome!), ale nawet Babiedołki, Babiebrody, Babierzeki, Babiebłota, Babieławy, Babiepola, Babiebagna, Babiedziury (parafja Chodzież) itd. A więc nie tylko doły, dołki i dziury, ale bagna, błota, brody i inne osobliwości. Czegoż te geograficzne baby nie posiadają! Powyższe nazwy rzadko oznaczają wsie, zwykle miejsca, łąki, moczary, mokradła. Dziwne, tajemnicze, niebadane rzeczy! Pierwotnie tak niewątpliwie. A więc baba już dawno była symbolem trwogi, strachu, niebezpieczeństwa. Nie tylko we Wielkopolsce, bo podobne nazwy porozrzucane są w całym kraju, nawet w całej Słowiańszczyźnie! Z brzmieniem baba kojarzono uczucia niemiłe, baba to wiedźma, czarownica. — Niebezpieczny dół, głęboki staw chrzczono babim dołem lub babią dziurą.

Jak więc obrażasz, dzisiejszy małżonku, twoją panią, gdy ją choćby półżartem nazwiesz babą! Nie wspominaj też o Babichdziurach, bo możesz być źle zrozumianym, zwłaszcza jeśli twoja żona nie pochodzi z parafji chodzieskiej.

Jakżeż inaczej z dziadami! Choć też możnaby o różnych dziadzich dołach i dziurach (zwłaszcza od czasów wojny) prawić, jednak żadna nazwa ich czci nie nadużywa. W siedmiu pękatych tomach badań wspomnianego uczonego nie znajdziesz, miła czytelniczko, ani jednej Dziadziejdziury. Dziad był zawsze w szacunku, baba w pogardzie.

Ale w piekielnem uroczysku, w babiej dziurze, nietylko djabeł mieszkać może. Istnieją też piekła urocze, ani czarne ani czerwone, bez czarnej smoły i czerwonych płomieni. Ludzi w nich nie smażą — krajobraz wesoły, dziewoje rumiane, pola wyzłacane pszenicą, posrebrzane żytem. Djabły bezrobotne leżą na miedzy, grają po rowach w karty, czytają Tajnego Detektywa. Bieda, nie stać ich na tańsze i gorsze pismo. My — prawią — Anglicy, oszczędni i przezorni, reflektujemy jeno na dobry towar, bo kryzys, brak gotówki, ciężkie czasy. — Żyć nie umierać! Piekło jak w operetce Offenbacha, brak tylko kieliszka i rumby (od rąbać, nie siekierą, lecz całą łapą na klawikordzie). Ale to drobnostki. Trzeba ino chcieć.

Gdzież to orfeuszowe Piekło? Blisko mówią kaznodzieje, zależy skąd pójdziesz czy od Pępowa (przepraszam, że obrażam moralność publiczną, nie wiem jak bakałarz pępowski tę wieś w szkole nazywa, a ksiądz?) czy od Środy (to już przyzwoicie, ale czemu nie Czwartek?) ku Nietrzanowu.

Są też Piekła lasy, łąki, pola i rowy, wzgórza — jest też nazwisko polskie Piekło! O zgrozo. Panie Piekło czy Piekle, czyś naprawdę z piekła rodem, gdzie twa kolebka stała, w piekle średzkiem czy szatańskiem? Trzymasz zapewne z djabłami, lękamy się ciebie więcej niż babiej dziury. Gdzieś podział dziadzi honor i zaufanie płci brzydszej?

Mniej straszy Piekiełko młyn, las, woda na Konarskiem od Książa, ale cóż to u licha Piekiełko - staw na Franulce! Staw na Franulce! Namaluj to kochany Grosiku w Kurjerze Poznańskim i powołaj się na Wici lub wprost na tom trzeci, stronę 27 księgi mistrza czarodzieja z Winnejgóry. Frania, Franulka to nasze dobre znajome: służące. Miłe stworzenia, w stawach, lecz bez „stawów“, wodę noszą w wiadrze, czasem w głowie. — Inna to więc Franulka, nieżywotna i bezwodna. Franulka to leśniczówka koło Miłosławia.

Czy to nie ciekawe qui pro quo, flirt czy romans geograficzny? Tak, nazwy też flirtują! Zresztą cóż tu dziwnego, leśniczówka i Franulka czy inteligentniejsza Wandziulka, czy to nie proste i naturalne. Nad czem łamać głowę?

Porzućmy z bólem nimfę leśną Franulkę i różne piekła i piekiełka wielkopolskie, porzućmy trywjalne babie dziury, i skierujmy nasz wzrok wzwyż, hen ku niebiosom! Ku niebiosom tam gdzie aniołki igrają. Nie każdy będzie oglądał niebo, każdy jednak może dumnie siedzieć na Niebiosach. Starczy stare szkapsko i skrzypiące wozisko Podłóż sobie jednak snopek słomy, bo po Adamowych drogach dawnej wschodniej Wielkopolski a późniejszej Kongresówki wypadnie ci jechać. — Niebiosy! Osada w powiecie sieradzkim!

Muszą w niej mieszkać same Aniołki. — Gdzież tam! Aniołki ukryły się w innej parafji. Chcielibyśmy je poznać — ale ks. Kozierowski figla nam płata. Zna Aniołka i Aniołki (tom I.), lecz nie podaje adresu. Księże Kanoniku, prosimy o adres, albo to żart. Gdzież mieszkają wielkopolskie aniołki?

Jakaż konsekwencja Stwórcy. Dał Piekło, stworzył Niebiosy, nie mógł zapomnieć o aniołkach, których zazdrośnie strzeże badacz winnogórski.

A jak nazwać naprzykład sołtysa anielskiego (to jest niby z Aniołek czy Aniołków). Czy jest to poprostu Anioł, Aniołek, Aniołczak czy Aniołczanin. A może tam wszystko bezrodzajowe, bezpłciowe?! Któż to wszystko rozpląta.

— — Widzę, że niejedni są zgorszeni mojemi słowami choć niezmyślonemi. — —

Padam do nóg, proszę o przebaczenie — żałuję za grzechy. Idę jak Tannhäuser pokutować. On poszedł dumnie do Rzymu, ja pójdę pokornie wprost do Czyścca. —

Ależ błagam czytelnika o pomoc. Mam dalszą czy bliższą drogę obrać? — Wolałbym krótszą. Znam dwa Czyśćce. W samej Polsce aż dwa Czyśćce! Źli są Polacy. Dusze małopolskie idą do Czyśćca w powiecie olkuskim, moja dusza chwaliszewska zawlecze się do Czyśćca parafja Kaźmierz.

— — A gdzie Czyściec dla tych z Warszawy? Czyż im dlatego tak dobrze? — Pójdą zato wprost do Piekła. *Seweryn Zehner.*

LISTY Z REGJONÓW

Z POZNANIA

Jeden z poznańskich miesięczników — łatwo domyślić się co zacz — ma zmartwienie, którem dzieli się ze swymi czytelnikami; na miesiące letnie mianowicie, t. zn. na lipiec, sierpień, wrzesień, zamyka „Poznańską Kronikę Kulturalną“ ponieważ w miesiącach tych „życie kulturalne miasta znacznie słabnie“; dziwne to i ciekawe stanowisko. Myślałby kto, że na czas letni wypędza się poprostu szacowną kulturę na wypoczynek, a poczciwi obywatele „grodu Przemysława“, wylegują się na dachach „pempkiem do góry“ i... narzekają na upał.

Nam się wydaje że jest nieco inaczej Przezacna jejmość „kultura“, niema

prawdę mówiąc, potrzeby brania urlopu i wyjeżdżania na wypoczynek do Puszczykowa, boć tak bardzo się przecież nie zmęczyła. Chyba nie po tych wielu amatorskich przedstawieniach teatralnych i po powodzi tromtadrackich pochodów czy akademij.

Więc pozostała w Poznaniu i mimo kanikuły zabiega jak umie i może. Oczywiście nie na łamach poznańskiej prasy. Tam decydujący głos mają specjaliści od kultury ale tej „fizycznej". Przecież w Poznaniu padło kilka rekordów światowych i rekordów Polski. Przecież musimy koniecznie o tem wiedzieć, że konkurent Nurmiego „wziął" go na tyle to a tyle sekund, że przyszła ministrowa rzuciła dyskiem kilka centymetrów dalej jak była ministrowa itp. Wnosząc z notatek i artykułów, miałby redaktor cytowanej „Kroniki Kulturalnej" rację. Kultura wyjechała, została i panuje wszechwładnie kultura fizyczna. Repertuar naszych teatrów także przemawiałby za „wyjazdem kultury". W teatrach porażenie. Po Rostworowskiego „U mety" w „Polskim" i po „Karjerze gwiazdy filmowej" Marczyńskiego w „Nowym" nic ciekawego. Zdarzają się wprawdzie występy pierwszorzędnych sił artystycznych z poza Poznania, cóż kiedy repertuar wciąż „porażeniowy".

Mimo to kultura przecież w Poznaniu została. Gdzie? Wystarczy zajść choćby do podziemi Muzeum Wielkopolskiego. Wystawa współczesnej Grafiki Poznańskiej niedawno otwarta jest wydarzeniem kulturalnem wysokiej klasy. „**Wici**" zajmą się expozycją obszerniej, tu więc tylko pogratuluję niestrudzonemu p. **Dr. A. Brosigowi** tej wystawy no i całemu Towarzystwu Miłośników Grafiki. Z okazji wystawy wydało Towarzystwo M. G. piękny katalog ze słowem wstępnem Artura Swinarskiego (omówimy go osobno — przyp. red.). Koniecznie więc trzeba, aby kulturalny Poznań zapoznał się z tą wystawą, co tem łacniej uczynić powinien, że w podziemiach muzeum panuje upragniony chłód, tak, że nawet wyjazd do Puszczykowa okaże się zbyteczny.

Wyzyskując okazję zwiedzania „podziemi" warto wdrapać się na wyższe regjony muzeum. Tam się także przecież coś zdarzyło. Zorganizowano mianowicie bardzo ciekawą wystawę retrospektywną malarstwa polskiego XIX w. Obejmuje ona 282 obrazów 113-tu artystów.

W salach Tow. Przyj. Sztuk Pięknych, zamknięto wystawę Wyczółkowskiego. Zwiedziło ją 4500 osób. Cyfra to maluczka jeśli idzie o ćwierćmiljonowy Poznań. Chwała Bogu jednak, że chociaż tylu znalazło się w Poznaniu „sprawiedliwych".

Po **Wyczółkowskim** wystawiają teraz **Ossecki**, **Maszkowski** (martwe natury), **Nehring** i **Wodziński**. Ten ostatni dał całą kolekcję wnętrz może i niepozbawionych pewnej kultury ale okropnie słodkich, ckliwych i beznadziejnie kaligraficznych. Jedną z sal zajęły prace młodego malarza p. **Tomaszewskiego**. Nieporządne to, niesharmonizowane a pretensjonalne. Mimo to jednak talent zdaje się jest. Świadczy o tem już choćby odwaga porywania się formalnie i tematycznie na większe rzeczy. Mamy już wszyscy dosyć tych niezliczonych martwych naturek, portrecików i pejzażyków. Życzymy młodemu malarzowi aby się wziął w karby, popracował nad sobą uczciwie, pogłębił swoją wizją plastyczną, wyzbył pretensjonalności a nie wyzbywał się swego pięknego zapału.

Janusz Deresiewicz.

Z BYDGOSZCZY

Znowu wypada nam zająć się losami teatru miejskiego w Bydgoszczy, gdyż placówka ta, mająca wielką kulturalną rolę do spełnienia stoi obecnie na rozdrożu. Właściwie to nietylko obecnie. Już poprzednie listy z Bydgoszczy charakteryzowały jej niedociągnięcia, jej nieustanne a szkodliwe lawirowanie między celami kulturalnemi a merkantylnemi. W rezultacie tego wahania Teatr Miejski swego zadania kulturaln. nie wypełnił, szedł po linji schlebiania tłumom zamiast je podnosić i rywalizował o „kasę" z kinami i rewjami. Miasto do tej zabawy w teatr dopłacało siedem tysięcy złot. miesięcznie i teraz już więcej takiej sumy dopłacać nie chce. Ostatecznie płacić w obecnych krytycznych czasach siedem tys. zł na bzdurne operetki i amatorskie sztuczki w rodzaju „Ułani księcia Józefa", to naprawdę szkoda. Rzecz inna, że zorganizowanie w Bydgoszczy poważnego teatru, któryby pracę swą pojmował jako uczciwą służbę Kulturze Polskiej a nie jako handelek czy rozrywkę dla znudzonych kołtunów to sprawa pierwszej potrzeby. Subwencja przeznaczona obecnie przez Magistrat w wysokości 3.000 zł mies. jest stanowczo za mała. Trzeba więc będzie coś nie coś dołożyć. I trzeba będzie postarać się o dyrekcję, którąby szła niezłomnie po linji wysiłków kulturalnych. W najbliższym czasie czynniki decydujące wybiorą nowego dyrektora. Pono wśród licznych kandydatów figurują nazwiska p. **Dowmunta** i p **Niewiarowicza.** Pierwszego dobrze znamy i wiemy, że ten zdolny aktor marnuje swój talent manierycznemi „gierkami" a dla niewybrednej gawiedzi poświęca bez skrupułów walory artystyczne. Obawiamy się słusznie, że jako dyrektor teatru poszedłby również po linji zadowalania bylejakich gustów dowcipami i sztuczkami a od sztuki byłby pewnie jeszcze dalszym niż p. Stoma (który bądź co bądź miał pewne ambicje artystyczne). Drugi z wymienionych kandydatów p. Niewiarowicz dał się już nieraz poznać ze scen stołecznych jako aktor zdolny, kulturalny i ambitny. Czy byłby również ambitnym kierownikiem bydgoskiej placówki trudno przesądzać, wydaje nam się jednak, że z pośród całej czeredy kandydatów p. Niewiarowicz ma najpoważniejsze artystyczne dane.

W następnych listach wrócimy jeszcze do tej ciekawej i poważnej sprawy, jak również do omówienia ostatnich wystaw w Muzeum miejskiem i ważnej reorganizacji w Związku Plastyków Pomorskich.

S. R.

Z GNIEZNA

Spory na temat wartości artystycznej pomnika Bolesława Chrobrego (dłuta p. Marcina Rożka) wznoszącego się przed tumem do dziś dnia jeszcze nie ucichły. Krąży po mieście w odpisach następujący wierszyk:

Zawołał król Chrobry
Pan mężny i dobry
Z wyprawy gdy wrócił zwycięskiej:
Hej wierne dworzany
Pogańskie bałwany
Wnet zburzyć mi z ziemi gnieźnieńskiej.

Lecz nic jak wiadomo na świecie nie ginie
Najtrudniej zaś giną bałwany.

— — — — — — — — — — — —

Lat dziewięćset od czynów Chrobrego gdy minie
Czcić króla chcą mądre gnieźniany.
Radzili, radzili
Głowami kręcili —
Aż poszli po radę do Rożka. —
Mistrz w długie narady nie wdawał się z tłumem
Na chwałę królowi postawił przed tumem
Przed wieki zburzonego bożka.

— — — — — — — — — — — —

Nie znam autora tego bardzo złośliwego, ale niepozbawionego ciętego dowcipu wierszyka. A wartoby go poznać, bo byłby to w Gnieźnie nielada rarytas. W czasie kiedy najmniejsza „dziura" prowincjonalna zdobywa się na poważne nieraz wysiłki kulturalne, kiedy regjonalizm wskazuje nam wszystkie tak długo zapoznawane wartości twórcze, prastary Gród Lecha wykazuje karygodną ospałość i indolencję. A przecież Gniezno aż się prosi aby się doń zabrali ludzie o jasnej myśli i gorących sercach. Pełne głębokiej poezji legendy, cudowne zabytki kultury i sztuki to idealne wprost tworzywo dla regjonalisty-szperacza, literata, artysty. A tymczasem głucho, głupio i sennie. Gdzież są młodzi Gnieźnianie? Co robi Akademickie Koło Gnieźnian? Czy młode orły gnieźnieńskie też już tylko tyją i głupieją niepomne wspaniałych lecz obowiązujących tradycyj. Nie mnie staremu wypominać grzechy i wskazywać zalety. Niechby się odezwał dowcipny autor wierszyka o „Chrobrym" albo którykolwiek z młodych. Trzeba na gwałt budzić ospałych i znudzonych. Nie wystarczy tylko w Gnieźnie spać, trzeba rozruszać mętną atmosferę i trzeba pokazać, że stare miasto żyje młodym duchem, że tworzy, miłuje i że jest piękne.

Senior.

Z PLESZEWA

Miasto, do niedawna powiatowe, dość ładne i regularne, z parkiem i ogródkami — reklamuje przedewszystkiem o kilkanaście kilometrów odległy Gołuchów. Kto do tej świątyni sztuki pielgrzymuje, niech przedtem zwiedzi miasto, bo potem, olśniony iście londyńsko-paryskiemi zbiorami gołuchowskiemi, nic tam albo bardzo mało ujrzy. Na czele wysiłków kulturalnych w Pleszewie kroczy Tow. Miłośników Nauki i Sztuki z b. prezesem dyr. gimn. dr. Szwedą, a obecnym prof. dr. Zetowskim. Środkiem akcji są wykłady popularno-naukowe. Koło Obyw. Kobiet organizuje akademje i koncerty. Od niedawna wystawia sztuki sceniczne Koło dramat. im. Fredry, zostające pod kierownictwem profesora Laskowskiego. Znanym jest nie tylko na gruncie pleszewskim dobry recytator p. Olma (b. naucz. gimnazj.). Objeżdża on gimnazja z wykładami i deklamacjami, szerząc kult żywego słowa, sprawę tak zaniebaną w szkołach. — Akad. Koło Pleszewian jest jak tyle innych kół prowincjonalnych kołem „od zabaw". Słychać o niem raz na rok w karnawale. To mało, nawet nędznie. Gimnazjum (hum.) posiada dość dobry chór mieszany, który ćwiczy p. Kaczmarek, kier. Szkoły Wydziałowej (obecnie likwidowanej). Chór występuje też nazewnątrz. Osobne koncerty urządzają raz po raz towarzystwa św→ewacze Harmonja i Lutnia. Wtóruje im orkiestra wojskowa 70 p. p. Gazeta Pleszewska, drukowana w Jarocinie nie stała się niestety tak ważnem narzędziem pracy kulturalno-oświatowej jak to widzimy w innych miastach tej wielkości i tych pretensyj. Pleszewianie, ratujcie honor naukowo-kulturalny waszego gniazda, bo drzemać w cieniu „europejskiego" Gołuchowa to rzecz wielce obowiązująca.

Lipiec. **A. S.**

REGENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Kronika Gostyńska

Pismo ilustrow. regionalne pod red. Dr. St. Kipty, prof. Wł. Kołomłockiego i Wł. Stachowskiego; wydawca: Polskie Tow. Dram. im. Al. Fredry w Gostyniu.

I. Serja 1928—30, II. 1930—31.

Wychodzi w Gostyniu, małem powiatowem mieście wielkopolskiem takie czasopismo, które jedynem jest chyba w swoim rodzaju. W r. 1928 grono obywateli tego

miasta, skupionych w Towarzystwa Dramatyczne imienia Al. Fredry, postanowiło wydawać (jako dodatek do programów teatralnych), jednodniówki, poświęcone przeszłości i teraźniejszości m. Gostynia i powiatu. Od tego czasu wychodzą te zeszyty, osobno już i zawsze jeszcze jako jednodniówki, chociaż już w odstępach regularnych się ukazują. Piękna inicjatywa natrafiła na podatny grunt i pracą wielu autorów stworzyła pokaźne już tomiki tej „Kroniki Gostyńskiej“, zawierające moc materjału i wiadomości do „kultury“ tego regjonu. Podziwu godna to rzecz, że jeden taki regjon powiatowy umiał stworzyć sobie własną placówkę i umie ją na odpowiedniem poziomie utrzymać, że znajduje ludzi, którzy mu niosą swą pracę w ofierze i znajduje oparcie materjalne, którego tak często brakuje w chwili obecnej największym nawet wydawnictwom.

Ale też Gostyń to w swoim rodzaju centrum pracy kulturalnej, szczególnie w dziedzinie pedagogicznej, znane bowiem jest szeroko jego Gimnazjum Miejskie, które pod niestrudzonem kierownictwem X. dyr. Olejniczaka wprowadza u siebie najnowsze zdobycze współczesnej pedagogiki i na tem polu przoduje całemu szkolnictwu wielkopolskiemu. Jeden też z numerów „Kroniki Gostyńskiej“ (III. z sierp. 1930, w liczbie str. 60, kilkakrotnie powiększonej) w całości poświęcony jest dziejom tego gimnazjum i jego obecnemu wyglądowi. Stąd naprawdę dowiedzieć się można, co praca ludzi, ożywionych pięknemi zamiarami i silną wolą, stworzyć może mimo przeszkód i trudnych warunków.

Z innych zeszytów, w całości poświęconych jednemu zagadnieniu, zasługują na uwagę zeszyt II. z roku 1929, utrwalający w 10-lecie wówczas, chwilę przejścia Gostynia z pod panowania pruskiego pod polski zarząd i udział miasta w ogólnych, związanych z Powstaniem Wielkopolskiem pracach. Zaszyt X. (r. 1930) znowu omawia postaci powstańców z r. 1863, pochodzących z ziemi gostyńskiej.

Pozatem w trzech zeszytach ostatnich z r. 1930, na 44 stronach mieści się ciekawa i pomnikowa w tym zakresie praca ks Stan. Kozierowskiego z Winnejgóry pt. „Ziemia gostyńska w świetle nazw geograficznych i najdawniejszych źródeł średniowiecznych“. Niestrudzony badacz tego zakresu dziejów (docent nauk pomocniczych historji przy Uniw. Pozn.), autor 7 tomów „Badań nazw topograficznych“... Wielkopolski i wielu mniejszych prac (m. i. monografij rodów rycerskich) przedstawia tutaj pochodzenie nazw, na obszarze ziemi gostyńskiej istniejących, (według swego, ustalonego już schematu) i rozmieszczenie własności książęcej, rycerskiej i duchownej na tym obszarze w wiekach średnich. Ostatnio pracę podobnego typu zyskał również powiat średzki w postaci ks. Kozierowskiego „Nazw geograficznych i osadzców ziemi średskiej“.

W innych zeszytach tej ciekawej „Kroniki“ rozsiane są drobne artykuły o gostyńskich „regjonaljach“, zarówno treści historycznej, jak współczesnej ogólnokulturalnej, bo wszystkie dziedziny życia swego zakątka pismo to omawia i porusza, (np. ciekawy jest zeszyt V. z roku 1929, poświęcony rolnictwu powiatu gostyńskiego i jego cukrowni w Gostyniu).

Jeśli chodzi o nazwiska, to najczęściej jako autorzy występują: p. Wł. Stachowski (obecnie sam redagujący Kronikę), prof. gimn. tamtejszego Wł. Kołomłocki i młody historyk, również prof. gimnazjum, mag. Paweł T. Schulc.

Na zakończenie jedna uwaga: czy nie lepiej byłoby w spisie rzeczy każdego zeszytu na czoło wysunąć nazwisko autora, a po niem dopiero dać tytuł jego artykułu, jak to się robi powszechnie w bibljografjach i czasopismach nietylko naukowych.

„Kronika Gostyńska“, mająca za sobą trzy lata istnienia, ma już ustaloną tradycję i zdobytą w społeczeństwie i życiu kulturalnem Wielkopolski ważną pozycję, życzyć tylko sobie można, by dalej się w sposób zamierzony rozwijała, by dalsze zeszyty i tomiki swe wydawała sobie ku zasłudze, innym zaś ku korzyści i zachęcie.

Mg. P.

„WRZEŚNIA”
jej ziemia i mieszkańcy

Praca zbiorowa, wyd. przez Akademickie Koło Wrześnian, pod red. J. Stasiewskiego, M. Turwida, A. Szyperskiego i J. Deresiewicza.

Września 1932. Str. XI.+94. 8⁰.

Jak wynika z podtytułu, jest to zbiór (dobrze nazwano: przyczynków, ale czemu historyczno-kulturalnych do dziejów), nie roszczący sobie pretensyj do wyczerpania przedmiotu, lecz przeciwnie, mający stanowić zaledwie dobry początek! Można tylko pogratulować wydawcom i redaktorom i życzyć im spełnienia dalszych jeszcze pięknych ich zamierzeń.

Wybrano dobry sposób — drukowania drobnych prac różnych autorów, zaczem dopiero pójdzie opracowanie ogólniejsze, synteza, traci jednak narazie na tem całość, niejasna dla tych, którzy nic dotychczas o Wrześni nie wiedzą. Przydałby się mały zarys na początku zbiorku, choćby według „Słownika Geograficznego Król. Pol....“. Niewiadomo również (ze zbiorkul) czy naprawdę w r. 1256 Września już istniała jako miasto, bo dokument lokacyjny z r. 1671 o tem nic nie mówi. W rocznicowem wydawnictwie dobrze byłoby przytoczyć również ową wzmiankę z r. 1256 i dokument, w którym ona zachodzi, inaczej bowiem na „675-lecie dziejów miasta“ nie mamy żadnego dowodu!

Rozprawki w wydawnictwie pomieszczone skupiają się wyraźnie w grupy: geograficzną (3), biograficzną (6), trzecią dyplomatyczno-historyczną (o dyplomach lokacyjnych, z załączeniem tychże w oryginale) i czwartą, którą nazwałbym archeologiczną (o zamku miłosławskim i obrazie Wnieb. N. M. P. we wrzesińskiej farze). 24-stronicowa rozprawa mg. Rajewskiego o pradziejach powiatu wrzes. (z zał. 9 tablic i mapek stanowisk przedhistorycznych) jest sama (dla siebie) już wyczerpującem przedstawieniem zagadnienia.

Dodano tu i bibljografję, jakkolwiek niezbyt przejrzyście ułożoną (nie odróżniono źródeł wydanych od opracowań), przyczem tak liczną pozycję przyczynków do dziejów miasta i powiatu, zamieszczonych w zasłużonym — jak widać — swemu regjonowi pod względem naukowym „Orędowniku Wrzesińskim“, można było ująć i przedstawić osobno.

Pierwszy krok zrobiony! Oby on również zachęcił do podobnej pracy inne miasta i powiaty (a także ich samorządy), bo tą drogą, drobiazgowych badań, szczegółowych opracowań i regjonalnych wydawnictw dojdziemy do upragnionej, polskiej syntezy historjograficznej Wielkopolski!

St. Pomykaj.

Wyjaśniamy: Przyczynki historyczno-kulturalne, czyli historyczne i kulturalne (także do dziejów kultury) do historji ogólnej — by nie powtarzać — do dziejów ogólnych Ziemi Wrzesińskiej (tj. dzieje polityczne, gospodarcze, oświatowe, literackie, pradzieje itp.).

„W 675-tą rocznicę dziejów miasta“ — słowo miasta trzeba tu rozumieć szerzej: miasta-osady, bo istotnie dotąd nie wiemy, kiedy osada-wieś otrzymała prawa miejskie. Notatka z r. 1256 mówi tylko, że w tym roku był właścicielem Wrześni Bodzęta Stefanowicz, z rodu Porajów-Różyców. (Por. ksiądz Kozierowski: Ród Porajów-Różyców. Str. 7.) Przyp. red.

Piotr Paliński:

Powiat Wągrowiecki

pod względem geograf. — statyst. — topograficznym — historycznym

Wągrówiec 1932.

Jedna to z pozycyj regjonalnych, jaką zdobyła dzięki autorowi uboga jeszcze bibljografja wielkopolska; poświęcona jest ona tej części starej ziemi Pałuczan, która obejmuje dzisiejszy powiat wągrowiecki. Układ książki alfabetyczny, w tym porządku wymienione są „wszystkie miejscowości pow. wągr., jest ich 270! w cz. I. a omówione są w najważniejszej i stanowiącej ośrodek całego dzieła części IV. (str. 47—244). Nie wszystkie oczywiście, lecz jednak 130 takich, o których dziejach czy pochodzeniu da się coś powiedzieć. Oparta jest ta część, jak można wnosić, na szeregu prac, wymienionych przez autora w „Źródłach“..., przyczem uderza brak „Słownika Geograficznego“..., którego autor nie podaje, trudno jednak przypuszczać, by go nie znał. Również dobrze byłoby skorzystać z prac nieocenionego badacza nazw geograficznych w Wielkopolsce, ks. kanonika Kozierowskiego, powołanego w tym wypadku i kompetentnego znawcy sposobów ich powstawania. Ta część dzieła sumuje więc wszystko, cokolwiek wiadomem jest nam dotychczas z dziejów pow. wągrow., niczego nowego jednak nie wnosi, twórczą i badawczą nie jest. Szczegółowych wiadomości jest tu ogrom, lecz układ ich w obrębie numerów niejasny, a pewne objaśnienia niepotrzebne mącą może tylko jasne przedstawienie (Brak spisu rzeczy!).

Cz. V. nazwana „Polonia restituta“ (str. 247—285) również obejmuje wiele rzeczy, ale i daje szereg wiadomości nowych, dotyczących dziejów walk z Niemcami w r. 1918—19 na terenie pow. wągrow., wycinek tej historji, która stała się niedawno i w zimne słowo historyka jeszcze się nie zamieniła. Żywy jest więc jej opis tutaj, wychodzący z pod pióra jednego z jej uczestników i świadków, jak cała zresztą książka owiana jest duchem obywatelskim i patrjotycznym, napisana z miłości do ziemi i współobywateli, którym też udzielić ma jak najwięcej wiadomości o tej ziemi i o rzeczach z nią związanych.

St. Pomykaj.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05. „WICI“ otrzymywać można we wszystkich kioskach „Ruchu“, we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy. **W KSIĘGARNIACH:** Poznań, Jan Jachowski, Księg. Uniw. — Bydgoszcz, Idzikowski — Kraków, D. E. Friedlein — Gdynia, M. Niemierkiewicz — Gniezno, J. B. Lange — Inowrocław, St. Knast — Ostrów, Mieloszyński, w Środzie Księgarnia Rogalska Administracja Nowej Gazety. **REDAKCJA:** Poznań, Chwaliszewo 15/16 3 p. pr., Przedstawiciel redakcji przyjmuje w poniedziałki i czwartki od g. 4—5 (Plac Wolności 10 m. 13). Bydgoszcz ul. T. Kościuszki 18 m. 8. Września Sekretarjat Redakcji i Administracji ul. Poznańska 6. Konto P. K. O. Poznań 200.057. — Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni.